

Odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

14

Rok I. Łódź, 1 czerwca 1958 r. Cena 1 zł

LESZEK WITCZAK

W ZAULKACH MORALNOŚCI

Gdy pierwszy raz składałem wizytę p. Z. Bartnickiej, przewodniczącej Sądu dla Nieletnich, spotkałem się z pewną nieufnością. Wszystkie rozprawy przeciw nieletnim toczą się przy drzwiach zamkniętych, reporterskie wścibstwo jest tu niepożądane. Wyjaśniłem, że nie gonię za sensacją, a co do bohaterów — szukam ich wśród ludzi pomijanych dotąd miłozieniem — kuratorów sądowych, opiekujących się nieletnimi. Pani Bartnicka w końcu rozchmurzyła się, wykradła interesantom trochę czasu i ułatwiła mi zebranie materiałów. Któż to są ci kuratorzy sądowi? Jak wygląda ich praca?

GDY RODZICE SĄ WROGAMI WŁASNYCH DZIECI

Kurator obejmuje dozór nad nieletnim. Nawiązuje kontakt z rodzicami. I tu napotyka pierwsze trudności. Z rodzicami bywa różnie. Dobrze, jeśli są szczerzy i potrafią ocenić wysiłek kuratora. Czasem za szczerością kryje się obłuda, rodzice ukrywają występki syna, wstydzą się. Nagminnie jest przetrucanie ciężaru wychowania dziecka na kuratora i państwo.

Jeszcze cięższy orzech do zgryzienia ma kurator, gdy poziom moralny i umysłowy rodziców jest niesłychanie niski. Często obok walki o poprawę moralną nieletniego, musi kurator przeprowadzać taką samą poprawę rodziców lub opiekunów. Oto S. K. namawia swą czternastoletnią córkę do uprawiania nierządu, aby czerpać z tego zyski. Przykład nie z paryskich zaułków, rzecz dzieje się w Łodzi. Cóż ma robić w tym wypadku kurator? Pozbawienie rodziców władzy opiekuńczej jest tu konieczne. Ale pewien kompleks moralny pozostanie u dziecka na całe życie.

Brak poczucia odpowiedzialności u rodziców jest czasem zastanawiający. Małżeństwo uprawia np. stosunki płciowe na oczach dzieci. Kuratorka zastaje dwunastoletnią dziewczynkę przed drzwiami. — „Niech pani tam nie wchodzi, teraz tatuś z mamusią się bawią” — mówi dziewczynka. Inny wypadek. Opowiada kurator — p. Bem.

„Miałem wychowanka, popełnił kilka kradzieży” podejrzewano go zresztą o inne występki. Matka na ul. Wschodniej prowadziła dom publiczny, w okresie „prosperity” utrzymywała kilka prostytutek. Prócz nich mieszka z nią jej kochanek, recydywista (20 lat w więzieniach). Odwiedzam kiedyś podopiecznego... W melinie czarno od dymu, przy stole z dziesięć osób w nieodpow-

nych oprychówkach, między nimi mój wychowanek popijający wódkę. Na wyroku rozmawiana kobieta cierpiąca wyraźnie na mydlowstręt... Chwila obopólnej konsternacji. Wreszcie kochanek nalewa wódkę do szklanek. — „Panie jak się panu tak chce męczyć, wypij pan lepiej”. — Chłopiec mający takie otoczenie był niezwykle oporny. Jakiż pedagogiczny system można tu było zastosować? Złożyłem wniosek do sądu, że w tych warunkach resocjalizacja jest niemożliwa. W porozumieniu z Komendą MO zlikwidowałem melinę. Chłopca przeniesiono czasowo do ciotki. Wystarałem mu się o pracę. Niestety, w tym wypadku pełnej resocjalizacji nie udało mi się przeprowadzić. Chłopiec był nienajgorszym robotnikiem, przestępstw nie popełniał, ale w dalszym ciągu źle się prowadził, rozpijał się, bił matkę. Luki w wychowaniu były zbyt duże”.

Często kurator ma do czynienia z rodzicami — dorosłymi debilami, alkoholikami, albo z wypadkami skrajnej nędzy (najczęściej na skutek alkoholizmu albo wstępu do pracy u ojca rodziny). Z rodzicami — debilami trzeba postępować bardzo delikatnie i ostrożnie, używać tysiąca i jeden sposobów w celu zjednania ich sobie. Alkoholików trzeba przymusowo leczyć, rodzinom ich starać się o bezwrotne zasiłki.

Szczególnie szybki rozkład rodziny i demoralizacja potomstwa następuje wtedy,

Dokończenie na str. 3



(Fragmenty)

Komar westchnął: — Nie ma rady, Jeśli wszystkie chcą owady, Zagram własne dwa utwory Nie grywane do tej pory. Pierwszy — będzie to sonata Pod tytułem „Urok lata”. Drugi — krótka uwertura Do opery „Pawie pióra”. — Tłum owadów krzyknął: — Brawo! Masz wyboru pełne prawo. —

Komar kucnął i po mału Wyjął skrzypce z futerału, Po czym wznosząc smyczek w dłoni Z wielką gracją się uklonił,

A po chwili już spod smyka Popłynęła w świat muzyka.



Foto Nell Dorr (USA)

ALINA GRABOWSKA



czyli **dwie twarze MŁODEGO POKOLENIA**

Wpadł mi przypadkiem w ręce ciekawy „dokument”, — wydany ostatnio w Kaliszu przez „Zakł. Wyd. Sztuk Użytk. K. Rudnicka” w nakładzie 100.000 egzemplarzy — „Flirt towarzyski”.

Sto tysięcy egzemplarzy — cyfra nie była jaka! Prywatny wydawca nie wydaje takich rzeczy „na niepewnego”. Liczy z pewnością na sprzedaż swoich 100.000 flirtów. Do jakiego nabywcy adresowana jest gra? Jakże środowisko ma zakupić 100.000 karteczek w czerwonej obwolutce?

Nie ulega wątpliwości, że autorzy przedsięwzięcia adresują swoje dzieło do młodzieży — dla starszych będą to przecież patentowane „głupstwa”. Flirt ma (cytuje) „w dowcipny sposób ułatwić grającym to, co wyrazić najtrudniej”. W kilkudziesięciu pytaniach, uwagach i odpo-

wiedziach zamykają się wszystkie etapy „miłości” — od poznania, poprzez pierwsze dowody zainteresowania, małe zazdrości, udawania, złośliwości i przeprosiny. I teraz — jak autorzy flirtu wyobrażają sobie te etapy flirtu współczesnej młodzieży?

Otóż dla kółtuna młodzież jest rozerotyzowana w sposób „drobny i niesmaczny”. W przekonaniu kółtuna panuje wśród młodych niezadowolony klimat dorastających pańien co to „wiedzą o co chodzi” i młodzieńców z wybiekami na twarzy, zaczytujących się pewnymi ustępami utworów S. Żeromskiego. Wszystko przepłatanie banalnym pseudo-dowcipem, wzdychaniem i trzepotaniem rzesami wraz z chwytaniem się co chwila „za serce” — na znak „prawdy”. Kółtun przypuszcza, że młodzież przemawia dziś do siebie następującym napuszonym i pełnym „sentencji” stylem: „Do naszych serc zakradła się jakaś tajemna moc”, „Nie zrywaj mi nic (?) pięknych marzeń”, „Moje serce bucha płomieniem”, „To są boleści młodego cierpienia”, „Chcę być jedyną boginią twego serca”, „Za tobą w ślad kroczy mój smutny cień”, „Jam cię przeczul w leż młoch przyznatach”.

A oto próbka dowcipu „erotycznego”:

„Mężczyzna oświadcza się o rękę, a zwykle łapie za... nogę”. „Mężczyzna zakochany i zakochany jeden podobny do drugiego”. „Masz oczy pełne „melancholii”, „Jesteś sentymentalno-mentolowo-eukaliptusowy”. „Mężczyzna nigdy nie pyta, bierze za schaby i kwita”, „Masz

Dokończenie na str. 3



Najpierw cicho, uroczyście, Jakby drzewa złote liście, Jęły skrzypce ronić dźwięki Znanej w lesie tym piosenki,



KONKURS FOTOGRAFICZNY

„Łódź i łodzianie” organizatorzy tzn. PTF Oddział w Łodzi i Redakcja „Odgłosów” postanowili przedłużyć o 5 miesięcy.

Przedłużeniu temu podlegają wszystkie terminy, określone w regulaminie. Tak więc prace konkursowe należy nadsyłać w terminie do dnia 25 października 1958. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi dn. 15 listopada 1958 r. Wystawa i zwrot prac w terminie do dnia 31 marca 1959 r.

Będąc na wczasach — czytaj

Doręczenie naszego tygodnika do miejsca pobytu wakacyjnego zapewnisz sobie wpłacając kwotę prenumeraty na konto PUPIK „RUCH” PKO Łódź 7-6-579 z zaznaczeniem „ODGŁOSY”



Schronisko znaleźli sobie w zapomnianym bunkrze przeciwlotniczym, w jednym z parków śródmiejskich Łodzi.

Wzięcie do niego ukryte było w krzakach. Na betonowej posadzce rozleżeli słomę i koce. Postanowili, że dziewczyna tutaj urodzi. Ona miała niewiele ponad szesnaście lat. On podał, że ma osiemnaście, jakkolwiek na pierwszy rzut oka odgadnięto się, że kłamał. Zdobywał środki utrzymania, przynosił z miasta żywność, troszczył się, jak prawdziwy mężczyzna, o jej potrzeby materialne i duchowe. „Z niczego” zmagistrował radio, zawiesił u sufitu. Wieczorami do betonowego lochu sączyła się delikatna muzyka. Byli samotni w centrum siedmiusetysięcznego miasta. Doskonała materia literacka dla pisarzy, którzy wolą do „co dzikie, od tego, co oswojone, ugor od obszaru uprawowego”.

Jakie były motywy ich ucieczki? On podał: miłość, na którą nie zyskałby zezwolenia ani swoich, ani jej rodziców. Ona nie chciała zeznawać. Była obojętna, milcząca, zacięta. Wywiad przeprowadzony w domu stwierdził, że warunki materialne jej rodziców były dostatecznie znośne. Ojciec i matka pracowali: matka była nauczycielką, ojciec urzędnikiem. Biedy nie odczuwali. Nieznośna była atmosfera: matka nerwowa, przeciążona pracą, ojciec zgryźliwy, starszy pan, który patrzył spod oka na rozwijającą się nadzwyczaj córkę.

Obydwoje raz było „przemądrzałe” dziecko, które na wszystkie wątpliwości potrafiło dać szybką, trafną, ale często niezgodną z opinią rodziców odpowiedź. Matka miała za złe, że córka nie prosi jej nigdy o sprawdzanie zadań z polskiego. Ojciec nie pozwalał jej na żadne spacerunki, wycieczki, zabawy. Każda przedłużająca się nieobecność córki wprawiała

podważać ten bezkompromisowy osąd, zaznaczył, że procesy wychowania są skomplikowane, ale one też stanowią „jedyną nadzieję społeczeństwa w tak trudnych i beznadziejnych czasach”.

Wychowanie uitożsamiał z domem rodzinnym. Jedynie instytucja domu rodzinnego oparta na takich elementach duchowych i materialnych, które zapewniają jej trwałą harmonię, świadomość wspólnoty, może ukształtować młodą i wrażliwą duszę „do spełnienia wszystkich zadań, jakich później zażąda ojczyzna”.

Tej absolutnej wiary w dom, w rodzinę nie udało w nim nic naruszyć. Szkoła, związki młodzieżowe uzupełniają wychowanie domu —

TADEUSZ PAPIER

BOHATEROWIE Z BUNKRA

ale — tylko w zakresie „fachowym”: liczenia, pisania, czytania. Zasadniczą bazą wychowawczą i jedyną — jest dom. „Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci”. Nie pomogą jej żadne zewnętrzne lakiery, szlify, dodatki. Roślina zapuści korzenie i rozwinie się jedynie na glebie, do której jest przyzwyczajona od pierwszych dni istnienia. Eksperymenty są pożyteczne i mogą się czasem udać, ale najczęściej łamią młode życie i dostarczają niezdrowej sensacji dla różnych snobów i egoistów.

Zagadnienie zbyt poważne, aby można przyczepić do niego bezmyślną etykietkę: wstecznik. Dopiero później zrozumieliśmy, że należał do tych, którzy prowadzą podwójne życie: oficjalnie w biurze, w domu zdejmuje wraz z wierzoną marynarką układne oblicze dworaka i odnajdują „siebie”.

Odpowiedziliśmy szkole, do której uczęszczała jego córka. Nauczyciel pokazał nam „ankietę dla uczniów” składającą się z 28 pytań dotyczących spraw nauki, życia koleżeńkiego i domowego, zamiarów na przyszłość. Przeprowadzenie ankiety miało na celu „bliższe poznanie młodzieży i próbę ustalenia charakterystycznych jej cech” oraz „wyciągnięcie z ankiety właściwych wniosków na temat tego, co młodzież myśli o sobie”. Ankieta objęła 40 chłopców i 50 dziewcząt w wieku 15—18 lat z przewagą szesnasto- i siedemnastoletnich. Organizatorzy podkreślali, że „uczeń jest pod wyraźnymi wpływami swojego bliźszego i dalszego otoczenia — toteż problematyka ankiety winna uwzględnić nie tylko samego ucznia, ale również i wpływ jego otoczenia, dodatnie lub ujemne.

Jedną z pięćdziesięciu dziewcząt, które wzięły udział w ankiecie, była nasza bohaterka z bunkra, Joasia. Odnależliśmy ją łatwo, gdyż w przeciwieństwie do przeważającej części koleżanek podpisała się imieniem i nazwiskiem.

Najważniejszą sprawą, która nas w danym wypadku najwięcej interesowała, był stosunek naszej bohaterki do szkoły i domu. Jedno z pytań brzmiało: „Co

podoba ci się w życiu twojej rodziny, a co cię razi i dła-czego?”. Około 35 proc. chłopców nie odpowiedziało na to pytanie. Dziewczęta były bardziej szczere. Motywy: kłótnie rodziców, niezgoda, pijanstwo (5%) powtarzały się najczęściej. Joasia napisała: „Niezgoda między mną a rodzicami”. Była to jedyna odpowiedź, która wyraźnie wskazywała na konflikt między dzieckiem a rodzicami. Odpowiedź krótka, sucha, a jakimże epilogiem ukoronowana później. Pytałśmy nauczyciela, czy zainteresował się tym zdenerwowaniem. No, owszem, zdawali sobie sprawę, że ojciec Joasi jest „dziwny”, ale żeby do takiego stopnia... zresztą tyle jest innych spraw...

Następne pytanie dotyczyło nauczycieli i kolegów. Czy ktoś z nich daje zły przykład „swoim stosunkiem do pracy lub życiem osobistym?”. 15 procent uczniów przyznało się do złych kolegów, zaledwie czterech ośmieliło się sprzeczyć swojemu pretensje do nauczycieli. Odpowiedź naszej bohaterki brzmiała zaskakująco: „Nie mam kolegów ani koleżanek, nauczyciele uczą dobrze, rodzice pracują nad siłą”. Odpowiedź, która w zestawieniu z poprzednią rysuje wyraźny portret dziewczyny, uwikłanej w konflikty z otoczeniem, nieufnej, a jednocześnie zdolnej do wymierzenia sprawiedliwego sądu o ludziach. Ale tego wniosku też w swoim czasie nie wyciągnięto. Na pierwszy plan wysuwano „niekoleżeńskość”, „nieufność” i „dzikość”. Tak ją odrysoywano na konferencjach nauczycielskich i „wywiadówkach”.

Sprawy wyboru zawodu — 9 proc. nie odpowiedziało na to pytanie. Dziewczęta na ogół mniej zdawały sobie sprawę ze swoich zainteresowań. Joasia napisała: „Chciałabym zostać lekarką”.

To, co tak bardzo niepokoiło w tego rodzaju deklaracjach, mianowicie powierzchowność lub celowe zniekształcanie prawdy (uzasadniona lub nie uzasadniona obawa przed konsekwencjami) w wypadku Joasi nabrało cech rzetelnych, rozważonych myśli. Ze szczegółowej analizy jej odpowiedzi wynikało, że w szkole nie była należycie rozumiana i doceniana, dla domu zaś była zupełnie obca.

„Ucieczka w marzenie” — tak można by określić problem dwojga młodych kochanków, którzy szukali schronienia w betonowym bunkrze, ponieważ uznali, że dotychczasowe życie było dla nich wielką przegraną. Tak też sprawę osądziła matka, której po raz pierwszy poważnie zabiło serce na wiadomość, że córka od kilku dni przebywa jak zwierzę w ciemnym lochu. Ten gorzki, bezwzględny obraz jednak spędał sen z oczu wszystkim matkom. Na tej samej kanwie wypadków ojciec naszej boha-

terki zdolny jest wyhaftować najwyższe humanitarne współczucie i wysoką przewagę moralną „jego” środowiska w przeciwieństwie do „upadłego” środowiska, z którego pochodził „kochanek” jego córki. W pierwszym okresie poszukiwań zaginionych, kiedy stało się jasne, że Joasia nie pojechała do krewnych w Krakowie i że losy złączyły ją z nie znanym chłopcem, ojciec wypowiedział surowy sąd o „tamnym” domu. Nie pozbył się przy tym pewnego rodzaju sarkastycznej pociechy. Jego sąd będzie tym ostrzejszy, im głębiej poczuje cierń ojcowskiego bólu.

Młodzi zaś dopiero teraz zobaczą ohydę betonowego lochu, ujrzą wstrętny barłóg, na którym spali — kiedy zjawi się tam milicjant w towarzystwie dziennikarza. Usta dziewczyny nie wypowiedzą ani jednego słowa, ale chłopak zmuszony jest przyznać, że były inne możliwości ich pierwszego startu. Milicjant — nie znając ich wcześniejszych perypetii, domyślając się pewnych rzeczy na podstawie dużej praktyki unao-czni im, że ten start odbył się w beznadziejnej pustce moralnej; pod wpływem tej do-broduszej perswazji chłopak musi sobie uświadomić, że zarówno on jak i jego dziewczyna to ludzie naiwni, o powierzchownej wiedzy o życiu, ale przecież... nie przestępcy. Istnieje wprawdzie zakaz sypania na ławkach w parku, ale w ich wypadku nie chodzi o zwyczajne przepisy porządkowe. Ta pierwsza „życiowa” konfrontacja z milicjantem, reprezentującym w tej chwili ów świat, z którym się rozeszli, przywróci im trwałą grunt; to jest punkt kulminacyjny pierwszego rozdziału ich życia. Milicjant uświadamia młodym, że nie są skazani na samotność.

Ale ja nie piszę konspektu powieści. Ponury buchalter pesymistycznych obrazów naszego życia wynotuje z przekąsem dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści podobnych historii. Kroniki milicyjne ułatwią mu ten „sondaż” społeczny.

Ale w ten sam sposób można wyliczyć trzy razy tyle „dobrych” przykładów. Metoda przeciwstawiania złych i dobrych obrazów nie prowadzi do niczego. Problemu Joasi nie można ujmować statystycznie. Nie można go również ograniczać do próby „zmierzenia się” dojrzewającego dziecka z rodzicami. Raz na kilkadziesiąt wypadków przy-bierze on formę klasycznego dramatu. Kiedy indziej przejawiał się w innej formie. Czas najwyższy, aby ukazał ten dramat: rozdźwięk między dwiema najważniejszymi instytucjami wychowawczymi: szkołą i domu. Rozdźwięk ten wy-rasta na różnym tle, często politycznym, ale konsekwencje tego konfliktu spadają przede wszystkim na dzieci.

Oto, między innymi, jakie wnioski wyczytaliśmy na marginesie ankiety przeprowadzonej w jednej ze szkół.

TAK ZŁE I TAK NIEDOBRCZE



momentu pomocy napadniętemu studentowi”. Po przeczytaniu powyższego nie mam już chwili „spokoju. Trapi mnie okropny strach. Bo dotąd wiedziałem: jak kogo zabiję — będę siedział. A teraz okazuje się, że jak w mojej obecności ktoś kogoś zabije — będę siedział również. Kiedy znajduję się w towa-



Foto Ruth Orkin

kiej) zaciemnia klarowność społecznego odczuwania nakazów i zakazów prawa. Stwarza przekonanie, że wyrok sądowy może być jak grom z jasnego nieba — spadać na człowieka nie wiadomo skąd i za co. Tak mnie się wydaje. Autorowi wiadomości p. Różyckiemu nie się nie wydaje. Relacjonuje fakt wytoczenia procesu i kropka.

Tedy widzicie, że jak w prasie wypisuje się bujdy — to niedobrze, ale jak prawdę, to też niedobrze.

BELFER

str. 5 odgłosy

KLUB MIĘDZYKRAJOWEJ PRASY I KSIĄŻKI tel. 212-57



Każdą książkę z księgarni dostarczamy do domu na telefoniczne zamówienie

Chwałę „Złotą Kulę”

JERZY NOWOSIELSKI

Słowo zostało wypowiedziane

O obrazach
Andrzeja
Wróblewskiego

Powieść dla młodzieży „Złota Kula” jest ósmą książką Hanny Ożogowskiej. W najbliższej perspektywie autorka zapowiada jeszcze dwie powieści: „Z pamiętnika pechowego Jacka” i „Tajemnicę zielonej pieczęci”. Pozazdrościć pracowitości! Niebawem więc można by urządzić pisarce zasłużony mały jubileusz z powodu dziesięciu pozycji beletrystycznych z zakresu literatury młodzieżowej i dziecięcej. Ale słyszę, jak Hanna Ożogowska wykrzykuje: „Boże Broń!” I słusznie! W jubileuszu jest zawsze coś mufikatora, co przekreśla przyszłość pisarza, a Hanna Ożogowska jest pełna zapatu i sił twórczych.

Hanna Ożogowska ma w swym dorobku takie popularne powieści dla młodzieży, jak „Uczniowie III klasy” i „Na Karolewskiej”, które doczekały się trzech wydań! I to powieści z terenu łódzkiego! Narzekamy, że pisarze za mało czerpią pomysłów z tematyki łódzkiej, a gdy otrzymujemy wreszcie to, o co wołaliśmy wielkim głosem, nie potrafimy należycie ocenić utworu, wysiłku twórczego i zasługi. Dziwne jest to nasze łódzkie środowisko artystyczne, zagadkowa atmosfera okryznanego „złego miasta”. Toteż pisarze opuszczają stolicę włókienniczą. Hanna Ożogowska coraz bardziej oddala się od Łodzi i chociaż tutaj mieszka, to jednak pracuje w Warszawie jako redaktorka młodzieżowego tygodnika „Płomyk” i rozwija tam ożywojącą działalność związkową.

Ale wróćmy do „Złotej Kuli”. Bohaterami powieści są uczniowie czwartej klasy Paweł i Broniek oraz ich ko-

ledzy. Siostrzyczka jednego z nich znajduje bursztynową kulę, która według młodzieńczych przesądów ma przynosić szczęście posiadaczowi. Ale nie będą przecież opowiadać własnymi słowami interesującej treści utworu Hanny Ożogowskiej. Chcę jednak stwierdzić, że akcja zawiązuje się dokoła rozpalającej wyobraźni chłopców legendy o bohaterskim Mucjuszu Scevoli trzymającym od początku do końca uwagę czytelnika w napięciu.

Autorka w bardzo dyskretny, prawie niezauważalny sposób podaje treści dydaktyczne czytelnikowi, który sam wyciąga wnioski z przebiegu akcji i zmieniających się charakterów młodych bohaterów.

Książka owiana jest pogodnym humorem i znajomością psychiki młodzieży. Dorosły czytelnik wychodzi na każdej stronie, że powieść pisała autorka będąca zarazem wytrawnym pedagogiem i znawczynią spraw młodzieżowych. Ale widzę, że zaczynam pisać z punktu widzenia dorosłego „nudziarza”. Młodzi czytelnicy — a o nich tu głównie chodzi — znajdą w „Złotej Kuli” interesującą intrygę, przygodę, humor i wzruszenie.

Powieść Hanny Ożogowskiej zyskała sobie już wiernych czytelników. Mój mały siostrzeniec, któremu ofiarowałem „Złotą Kulę” a następnie wypożyczyłem ją od niego celem napisania recenzji, niecierpliwie się i prosił natychmiast o zwrot. Będzie czytał tę książkę drugi raz! To najlepiej świadczy o wartości i poczytności „Złotej Kuli”.

ARYSTARCH



Andrzej Wróblewski

Rozstrzelanie

Uprzednio jest mówić o malarstwie Andrzeja Wróblewskiego w kategoriach jakości formalnej. Mimo że należał on do pokolenia, które określamy mianem „nowoczesnych”, ani jedna sprawa z zakresu wielkiej analizy formy malarskiej nie była mu obca. Inwazja treści ludzkich (może brzmiało to dość banalnie) zmusza do rozważań innego rodzaju z okazji jego wystawy zbiorowej. Jeżeli pominąć okres perypetii „surrealistycznych” w znanym znaczeniu tego słowa (Wróblewski był realistą przez wielkie R), okres nieunikniony zważywszy okoliczności, w jakich rozwija się jego świadomość artystyczna, dla malarstwa tego musimy poszukać jakiejś innej, indywidualnej formuły. Wbrew szerokiemu nurtowi wydarzeń artystycznych szuka on krótkiej, bezpośredniej drogi do rzeczywistości.

Niesposób przemilczeć gwałtownie napraszającej się, najłatwiejszej analogii — Wróblewski — Majakowski. Jest to jednak Majakowski inny, bogatszy o asymilację pewnego gatunku doświadczeń, które tamtemu wydały się w smaku zbyt gorzkie i niedorzeczne. Sytuacja Majakowskiego w sztuce była taka: symbolizm, futurizm, kubizm + rewolucja. Twórczość Wróblewskiego zawiera o wiele

większą ilość elementów porozumiewawczych na szalonych wagach, którą artysta ten waży rzeczywistość. Więcej elementów świadomości artystycznej i ludzkiej.

Ta krótka wzmianka z okazji wystawy zbiorowej może zaledwie zasygnalizować problem — byliśmy świadkami narodzin nowoczesnej tragedii. Wróblewski był z przeznaczenia i powołania artystycznego tra-

gikiem naszego pokolenia. Ten przekonany i konsekwentny materialista racjonalny przesycony swoistą ironią plastycznymi metafurami wyrosłymi w konfrontacji z okrutną rzeczywistością.

Ale obraz ten, na który składają się wszystkie elementy jego gorzkiej i nieprzekupionej wiedzy o człowieku, zawiera w sobie dalsze, nieodgadnione perspektywy. Wywołuje spłót skojarzeń, których niedużo znaczna beznadziejność równałaby się w innym ujęciu beznadziejności figur odzwierciedlonych na stronicach albumu anatomii patologicznej. Przesyca jednak te figury żarem własnej współczującej świadomości i podnosi do rangi znaków prowadzących nad samą przepaść ale ukazujących daleką perspektywę.

Kiedy maluje „słońce i inne gwiazdy” czyni to z ironicznym uśmiechem człowieka, który zna dziecięcą zawartość metafory — na pograniczu surrealizmu i snobizmu. Kiedy daje nam swój cykl gwaszów o tytułach takich, jak „Wiosna w ASP”, „Nagrobek kobieciarza”, lub „Ukwestwienie” wykracza daleko poza pozycje określone przez krag zaangażowania surrealisty. Surrealista w rodzaju Maxa Ernsta wycoufuje się w swym marzeniu i w swej ironii poza magiczny krag mistyfikacji — jakby czuł konieczność udziwienia zbyt tragicznej w swej konsekwencji rzeczywistości. Jest to zarazem krag swobodnego desintu — resesmentu. Wróblewskiego stosunek do rzeczywistości jest prostszy i jakby odwrotny. Nie ucieka się do mistyfikacji, by uzyskać metaforę i wyluskać

treść paradoksu. To raczej rzeczywistość jest zbyt niedorzeczna i zbyt narzucająca się treścią zagadkową i nieodgadnioną. Aby notować wszystkie jej paradoksy dość jest szeroko otwartych oczu malarza. Pozycja klowna zmieniona została przez postawę wrażliwego świadka spraw bardziej niebywałych, niż twory wyobraźni.

Przy okazji wystawy Wróblewskiego uczyniono porównanie Wróblewski — Buffet — na korzyść tego ostatniego. Widziałem wielką zbiorową wystawę Buffeta. Wydaje mi się, że to tylko nasz osławiony snobizm na zagranicę umożliwił takie postawienie sprawy. Ani jakoś malarskie ani gatunek i skala wyobraźni obu artystów nie upoważnia do tego. U Buffeta ledwie zaznaczyła się w niektórych wcześniejszych kompozycjach owa żarliwa dyspozycja do wielkiej ironizującej metafory, którą z takim bogactwem i siłą sugestii rozwija Andrzej Wróblewski. Ostatnie jego gwasze i obrazy otwierały perspektywę jeszcze dalszą, której nie mógł już nam w pełni ukazać; jednak malarstwo jego jest czymś skończonym, zrehabilitowanym. Mimo wczesnej śmierci artysty SŁOWO ZOSTAŁO WYPowiedziane.

Jest rzeczą nader gorzką obserwować bezsilności z jaką amatorzy i propagatorzy pozaformalnych „ogólnoludzkich” treści w malarstwie snują się między tragicznymi malowidłami Andrzeja Wróblewskiego. Oto przyszedł artysta spełniający ich oczekiwania. Lecz ludzie ci nie poznali czasu i miejsca realizacji swych pragnień.

To jest autor tej bajeczki



Co skłoniło mnie do tego, że ostatnio prawie wyłącznie zajmuję się twórczością dla dzieci?

— Myślę, że wpłynęło na to duże powodzenie mego przekładu bajki P. Jerszowa pt. „Konik Garbuszek”. Bajka ta doczekała się już trzech wydań w łącznym nakładzie 150 tys. egz.

Nie więc dziwnego, że postanowiłem spróbować własnych sił i zająć się twórczością oryginalną w tej dziedzinie.

W rezultacie jeszcze w bieżącym roku nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazuje się moja pierwsza bajka pt. „Przygody biedronki”. Bajkę „O komarze i orkiszce”, która grała w „Górnym Dunajcu”, wyda „Czytelnik” przygotowując też następną książkę pt. „10 bajek”. Zioła są na nie przewidziane do utworów, które publikuje w „Siewerszczyku”, „Płomyku” i „Piomyku”.

Poza tym pracuję również nad przekładem słynnego poematu Szota Rustawego pt. „Witez w tygrysięj skórze” dla „Naszej Księgarni”.



(Dalszy ciąg ze str. 1)

Którą zwykle wśród moczarów
Spiewa wielki chór komarów.

Chwila ciszy i skupienia.
Skrzypek w lot tonację zmienia,
Wodzi smyk po cienkiej strunie
Aż spod struny trysnął strumień
Strumień leśny, muzyczny,
Chłodny nawet w dzień upalny,
Z tak bogatą dźwięków gamą,

Jakby lato grało samo.
Nagle ucichł śpiew strumienia —
Komar znów melodię zmienia.
Szum się rozległ nieustanny,
Niby cichy szmer fontanny,
Która gdzieś po wodnej toni
Milionami kropel dzwoni.
Dźwięczą struny głośniejsze
I fontanna jest już deszczem.

Teraz deszcz piosenkę śpiewa.
To nie deszcz już, to ulewa.
Tonów czystych, nastrojowych,
Jak odwieczny szum dąbrowy,
Tu zerwały się oklaski.
Komar dumnie rzekł: — Bez lask!
Po czym uniósł się na palcach
I po chwili tony walca
Jęły cały las kołysać.
Gdybym nawet chciał opisać
Jak ruszyły w tan owady,
Mimo chęci nie dam rady.

Kiedy komar skończył granie
Smer się rozległ po polanie
A po chwili z lewa, z prawa
Popłynęły gromkie brawa
Tak donośnie i rzęsiście,
Ze zadrżały wokół liście.
Trzmiel zaś krzyknął: —
Gra skończona!
Nikt komara nie pokona!

Skrzypek otarł pot ze skroni
I unosząc smyczek w dłoni
Skladał ukłon za ukłonem.
Wtedy właśnie w jego stronę
Podszedł konik i rzekł skromnie:

— Zapomniałeś chyba o mnie. —
Komar uniósł głowę hardo,
Dał mu skrzypecę i z pogardą
Szepnął: — Upór twój mnie drażni.
Chcesz się zbłaźnić, to się zbłaźnij. —
Na to konik rzekł: — Spróbuję.
Pająk niech akompaniuje.
Słuch ma dobry, grywa czysto
I wspaniałym jest pianistą. —
Na pajaka skinął dłonią,
Natarł smyczek kalafonią,
Szybko sprawdził skrzypiec brzmienie
Z taką wprawą, że zdumienie
Ogarnęło zgromadzonych...
I po chwili pierwsze tony
Zadzwoniły w leśnej głuszy.

aspazja



ILUSTR. J.BIS-GRATKOWSKI



— Chcesz opuścić naszą raketę i samorzutnie wyjechać na badanie Marsa?

Zrobił tajemniczy wyraz twarzy. — Myślisz tutaj uprawiać gry i zabawy, a profesor Cronenstraem pilnie śleczal przy swoich instrumentach. Wykrył on, jak się zdaje, niezmiernie przemysłnie zamaskowaną jakąś radiostację Marsjan, czy może to jest obserwatorium, czy jakaś wyrzutnia. Tak przynajmniej twierdzi. Ogłądałem to miejsce przez wszystkie nasze lunety, badałem zdjęcia powiększone i film; stosowałem analizatory. Coś tam niby jest, to znaczy jest geometryczny układ terenu. Tego sama przyroda nie stworzy, ale są to również może jakieś odmiany tych ich grobowców. Otóż tam poleceć — jest to północno-wschodni cyfel płaskowzgórza Puerto Pabla. Niedaleko od tego miejsca zaginął jeden z naszych Wesołych Kretów. Trzeba to zbadać.

Zobaczmy.

— O Wikli! — zawołałem. — Namysł się jeszcze. Nie rób tego!

— Wszystko będzie dobrze! — rzucił bez troski mrużąc swoje niebieskie oczy. — Gdybym jednak zginął powiedz ludziom i mojemu narodowi, że żyłem tylko dla nich i dla nich umieram. Kiedyś umrzeć trzeba! No, bywały!

Padliśmy sobie na chwilę w ramiona i Wikli wyszedł. Za godzinę wyleciał na Adze. Zniżyliśmy się do 20 kilometrów, aby lepiej wszystko widzieć i bliżej być niego. Tkwił przy lunetach, teleskopie profesora Cronenstraema, a kto nie mógł się do tych przyrządów dostać, ten spoglądał przez lornetki, które niedużo ustępowały zwyczajnym lunetom.

Pilatti cały czas utrzymywał z nami łączność foniczną.

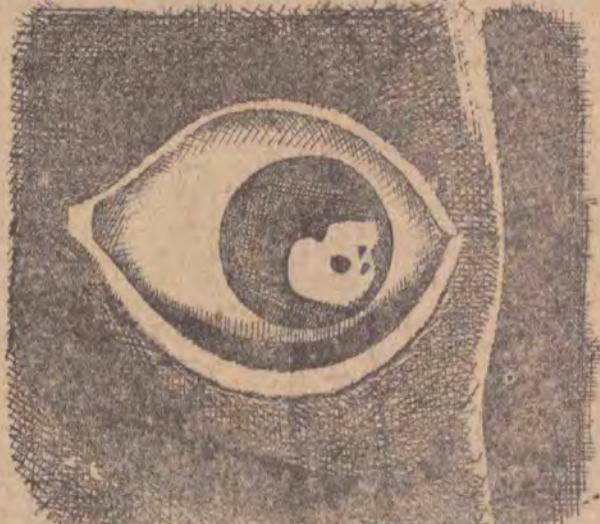
Gdy był już bardzo blisko ustalonego miejsca, nadawał gorączkowo:



— Cronenstraem miał rację. To jest jakiś budynek znakomicie podrobiony pod kolor i kształt otoczenia. Jeszcze w tej chwili wygląda jak chaotyczne zbiorowisko skał. To jest podziwu godne, tak zamaskować dość dużą przestrzeń. Są w tych murach jakieś okrągłe otwory, zapewne okna. Jednak żadnego wejścia, żadnej bramy, wjazdu, nic takiego. Teraz widzę, że mury są okrągłe. Jest to coś w rodzaju amfiteatru. To nie są stare budowle, to nie zwaliska. W jednym z otworów coś błysnęło. Coś to być może? Jak odbłask słońca w szkle, w jakiejś soczewce. Tam coś się porusza! Coś ja widzę!? Otworzyła się na bok cała jedna ściana, nie część ściany i stamtąd coś wyjrzało. Coś długiego, ciemnego i lśniącego. Coś przy tym porusza się. Ach, przyjaciele — krzyknął — zagadka jest rozwiązana... widzę doskonale... zaraz ląduję... to są ludzie w białych szatach... to jest ko... o Boże!

Raptem zginęło wszystko, nie stało Agi i tego wspańskiego Victora. Nie było blasku, ani błysku, ani dymu, ani mgły. Aga i Wikli zamienili się w nicłość. Z otu przeszli w niebyty w ciągu ułamka sekundy — i nie było nic. Żadnego wystrzału, huk, ruchu. Nic się nie zmieniło, nic nie runęło, nic nie zadrżało, ale nie było Wikli, tego Wikli, z którym tyle lat wspólnie spędziłem, z nim byłem w szkole kosmonautycznej, z nim latałem na planecie, z nim pisywałem wiersze. Później on stał się wspaniałym poetą, a ja pozostałem skromnym reporterem. Nie ma wielkiego znawcy promieni kosmicznych i słonec heliosowych, który odkrywał tajemnice przyrody. Coś uczynił teraz jego piękna żona Selaja z wysp archipelagu Fidżi? Co zrobił jego dwi uroczę, smagłe córeczki — Malita i Asmateja?

Gnałszy do góry, aż nogi wbijały się w podłogę. Staraliśmy się połączyć admirała z prezydentem Świata profesorem Callado.



Była to ucieczka haniebna. Zatrzymaliśmy się dopiero na wysokości 50.000 kilometrów, daleko poza zasięgiem pola grawitacyjnego Marsa. Ich niezłomne promienie, które w ciągu sekundy przemieniały aparat składający się z ognioodpornych metali w przezroczyście nicotą, przeraziły nas nie na żarty.

Poza tym byliśmy zupełnie dezorientowani ostatnimi słowami naszego Wikli. Nie ulega wątpliwości, że mówił to, co widział, a widział nie pszczoły, lecz ludzkie postacie w białych szatach, i wśród nich postać kobiecą, bo to zapewne znaczyło jego ostatnie słowo „ko...”. Powracała więc wersja starego Vitulena o jakiejś upiornej kobiecie. W związku z tym stawała się również aktualna hipoteza zakomunikowana nam w swoim czasie przez admirała, że na Marsie przed kilkuset laty osiedlili się jacyś szalenicy zbiegowie z Ziemi.

— Drodzy koledzy — odezwał się profesor Liamotał swoim wysokim, sugestywnym głosem. — Wspominałem wam o naszych świętych księgach, gdzie jest mowa o tym, że istoty z Marsa przyjeżdżały na Ziemię i osiedliły się na Atlantydzie... Otóż jest jeszcze inna wersja, mianowicie taka, że Atlantowie, wychodząc z Marsa, przekształcili się po pewnym czasie w ludzi o bardzo wysokiej kulturze. Stało się to na skutek związków małżeńskich jakie zawierali z Ziemiańkami i płodzenia dzieci coraz bardziej podobnych do ludzi. Cywilizacja ta zginęła, ale część tych istot powróciła na Marsa. Tak mówią pradawne święte księgi nasze i Hindusów.

(d. c. n.)

ZBIGNIEW KUZMIŃSKI

Czy program telewizyjny jest zły?

Wiem. Wszyscy oczekują szybkiej, automatycznej odpowiedzi: oczywiście! — gdyż narzekanie na „słaby”, „beznadziejny”, „koszmarny” program telewizyjny stało się u nas modne. Mammy ostatnio różne mody: na egzystencjalizm i brodaczki, na zamieszczanie w prasie zdjęć rozrebranych gwiazd, na wybory miss Warszawy i Pikutowa, dlaczego nie ma panować moda na odsadzanie od czci i wiary telewizji? Panuje. Narzekają wszyscy. Nawet ci, którzy nie posiadają telewizorów, którzy jeszcze nigdy w życiu nie zetknęli się z telewizją.

Jest jednak grupa posiadaczy telewizorów, umiających racjonalnie korzystać z aparatu, oglądających audycje systematycznie, takich, którzy stali się już w pewnym sensie znawcami programu. Im przysługują istotne prawo do wyrażania swych opinii, ich wypowiedzi muszą zasługiwać na uwagę. Procent tej grupy krytyków jest znaczny, sądzę więc, że warto podjąć mądry temat.

Ale na początku zastrzeżenie. Nie będę twierdził, że cały program telewizyjny jest

bezwartościowy — bo to nieprawda. Nie będę również dowodził, że jest genialny — bo tak również nie jest. Moim zdaniem, program telewizyjny w ogólnym zretroju, jako całość znajduje się na poziomie wyższym od przeciętnego; wiele zarzutów nie znajduje w tym wypadku potwierdzenia. Wydaje mi się, że sedno sprawy tkwi w czym innym. Mianowicie w zbyt krótkim nadawaniu programów dziennych, a raczej w zbyt późnym ich rozpoczęciu, oraz w ograniczonych możliwościach wyboru dowolnych audycji. Sprawa wiąże się z nadawaniem dotychczas tylko jednego programu i — trzeba to sobie powiedzieć — nieprędko znajdzie rozwiązanie.

Niemożliwe jest takie zestawienie poszczególnych punktów programu, które by były dla wszystkich jednako atrakcyjne. Są to sprawy ogólnie znane, nie wymagające komentarzy. Nie realne są życzenia wszystkich, którzy pragną codziennej premiery nowego, jeszcze nie oglądanego filmu, codziennie nowej, odkrywczą inscenizacji, częstych wieczorów humoru i piosenki, występów orkiestr, „gwiazd” itd. Dlaczego? Dla-

tego, że Film Polski produkuje w ciągu roku tylko kilkanaście filmów pełnometrażowych, przy czym w obronie interesów własnych zezwala się na ich wyświetlanie w telewizji dopiero po upływie pół roku od dnia premiery. Z nowymi filmami zagranicznymi jest podobna historia, a sto kilkadziesiąt tytułów rocznie również nie rozwiązuje problemu, bo zapotrzebowanie jest dwukrotnie wyższe.

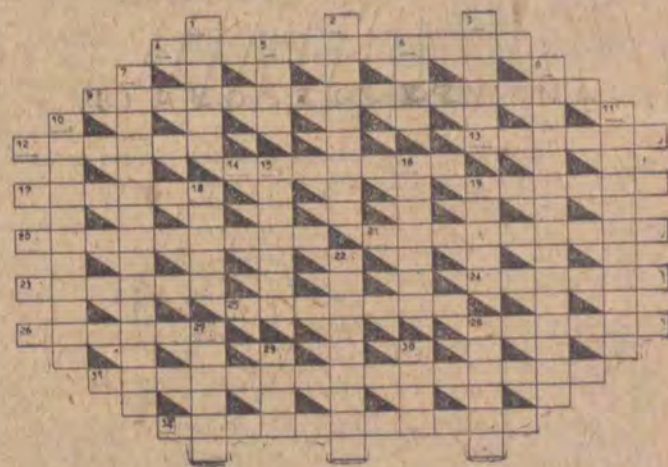
Sztuki pisarzy polskich ukazują się nader rzadko, za wystawianiem autorów obcych trzeba płacić cenne dewizy, na brak dowcipnych tekstów cierpi od lat nie tylko telewizja.

Bynajmniej nie zamierzam telewizji generalnie rozrzucić z wszystkiego, twierdząc, że winne są „trudności obiektywne”. Jednak uważam, że nie można całkowicie pomijać wymienionych okoliczności, gdyż ograniczają one istotnie działalność programowa telewizji w Polsce. Należy również przypomnieć, że telewizja nie jest u nas jeszcze zjawiskiem tak powszechnym, popularnym jak np. radio, że przeciwnie, dnia 31 stycznia br. mieliśmy zarejestrowanych zaledwie około 25 tysięcy telewizorów. Przypuszczam, że dopóki te liczby nie będą znacznie wyższe, dopóki wpływy za abonament telewizyjny nie pokryją całkowicie wydatków, telewizja będzie zmuszona korzystać z dotacji państwowych, a te — jak wiadomo — nie mogą być wysokie. Konieczne jest więc jak naj-

bardziej oszczędne wydawanie pieniędzy, również na program.

Tak mniej więcej sprawa wygląda w obecnej chwili. A kiedy ta sytuacja ulegnie zmianie? Kiedy posiadacz telewizora będzie miał większy wybór audycji i mniej powodów do narzekania? Oczywiście nie od razu. Plan na najbliższe lata zakłada kilkukrotny wzrost podaży telewizorów oraz dalszy rozwój stacji telewizyjnych. (Do roku 1970 sieć telewizyjna obejmie cały kraj). Za kilka lat ilość widzów małego ekranu w Polsce znacznie wzrośnie, a wówczas wymagania coraz doskonalszych audycji przybiorą taki stopień nasilenia, że telewizja zostanie zmuszona do zastosowania radykalnych środków. Będą to dwie zasadnicze sprawy: podjęcie produkcji własnych filmów o szerokim wachlarzu tematycznym, i — wskutek wielkiego zapotrzebowania na teksty — zainicjowanie aktywnej współpracy z pisarzami, którzy będą telewizję systematycznie zaopatrywać w scenariusze dla widowisk własnych. (Filmy i inscenizacje w studio, to podstawowe punkty programu telewizyjnego). Zostanie uruchomiony drugi, równolegle nadawany program. Można wyrazić życzenie, aby stało się to wszystko jak najszybciej. Tylko... czy wówczas wszyscy już będą zadowoleni? Czy skończą się narzekania? Nieładzą się...

NASZA KRZYŻÓWKA



Poziomo — 4) Inżynier, budowniczy tworzący plany konstrukcji, 9) Ziemia białostocka, 12) Miasto między Krotoszyńcem i Kaliszem, 13) Trucizna, którą Indianie zatrudwiali strzają, 14) Kwiat, 17) Ilustrator, 19) Ptaki 20) Zaburzenie odżywiania (tęsknota lub narządu), 21) Pałający afektem, 23) Państwo europejskie, 24) Kij, 25) Ulicznik paryski (fonetycznie), 26) Jedzenie, 28) Narodowość słowiańska, 31) Nauka o człowieku, to samo co antropologia, 32) Spokój, usmierzenie, ukojenie (ból).

Pionowo: — 1) Rzeka mniejsza, wpadająca do większej, 2) Odważny żeglarz, 3) Głans, 5) Suche gąsienice, 6) Rodzaj powozu, 7) Fotografia przedmiotów bardzo małych w zna-

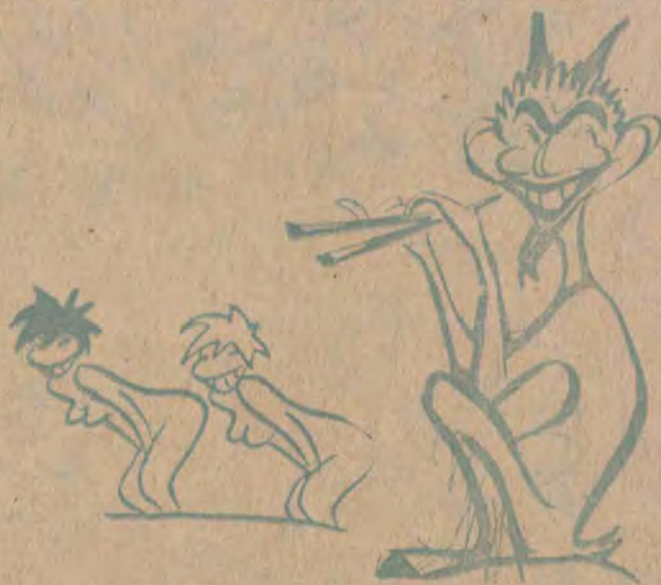
cznym powiększeniu, 8) Historia rozwoju rodu ludzkiego, 10) Różne odmiany jednego rodzaju towaru, 11) Urząd prokonsula, 15) Zdrobniałe imię żeńskie, 16) Człowiek bez czci, bańka, 18) Zwierzę domowe, 19) Filozof wyznający zasady stoicyzmu, 22) Przyrząd do wskazywania różnicy temperatury, 27) Krzew ogrodowy o jagodach jadalnych, 28) Ptak, 29) Wycięcie w ścianie budynku, 30) Grunt, ziemia.

Termin nadsyłania rozwiązań — 10 dni.

9 odgłosy
str.

Peynet

albo *cha! cha!* poetyczny „Eroticon”



— To równie dobry sposób spędzania czasu — jak każdy inny...



— To dziwne, tego małego Rubensa nie ma w katalogu...

Raymond Peynet wystarował swoimi rysunczkami o zakochanych tuż przed ostatnią wojną — i od razu znalazł się w elicie humorystów. Osobiście zaliczam go do tej wąskiej czołówki, grupującej 5 — 6 rysowników, najbardziej oryginalnych, pomysłowych i niepowtarzalnych. Choć nie znaczy to, że nie znajdują epigonów. Ale podrabianie zarówno Peyneta, jak Steinberga, Addamsa, Bosca, czy Sogłowa kończyło się fiaskiem.

Znany i popularny na ca-



— Rozumiem, mamo, że poeta nie jest zwyczajnym człowiekiem. Ale i on powinien zrozumieć, że w noc poślubną powinien wreszcie pójść do łóżka...

łym świecie, Peynet pozostaje jednak na wskroś francuski. To znaczy „francuski” w tym stopniu, o ile istnieje jakieś powszechne, przeciętne wyobrażenie o kraju i narodzie. A tak się przecież dzieje, że w naszym najogólniejszym wyobrażeniu o Francji dość poczesne miejsce zajmują tam „sprawy erotyczne”. Przynajmniej ten zakres problemów przekazuje nam szczególnie często francuska sztuka.

Peynet demonstruje cały wachlarz „erotyzmów”, od sielankowych spacerów do kręgów zagadnień łóżkowych. Ale nawet, kiedy dotyka tematów całkowicie intymnych i drażliwych — ciągle jest o sto mil od pornografii.

Tu tkwi tajemnica specyficznej urody żartów Peyneta. Wszystkie rysunczki przeniknięte są oryginalnym wdziękiem i poezją. Wszystko odbywa się w świecie fruujących nutek, amorków, ptaków, motyli, w świecie ozdobionym kwiatami i girlandami.

I nawet postaci kochanków wyglądają trochę „nie z tej ziemi”. Smukłe, urocze dziewczęta są adorowane przez zawsze takiego samego — pełnego melancholii, roztrąconego poetę.

Peynet jest płodnym rysownikiem — publikuje co tydzień kilka żartów, głównie w „Le Rire” i „Ici Paris”. Ilustruje stale pikantne korespondencje z Paryża w angielskim magazynie humorystycznym „Men only”. Dwa lata temu wydał album dowcipów „Amor w podróży dookoła świata”, który doczekał się już kilku wydań w różnych krajach, m. in. w USA. Kiedy w Polsce?

W odpowiednim czasie przedstawię uroczę żarty Peyneta. W maju — miesiącu zakochanych.

J. W.

FRASZKI

RYSZARD KUJAWSKI

Z życia

Przy gorących sercach niań
Rośnie często zimny drań.

ELŻBIETA ZECHENTER

Fraszka makabryczna

Milczenie jest złotem
(czymże przy nim słowa?)
— Szkoda, że tylko w przysłowiacz —
pomysłał niemowa.

EDWARD ETLER

Fraszka refleksyjna

Biedny Światowid —
Boże mój, Boże,
pokażać pleców
żonie nie może...

ALEKSANDER STROKOWSKI

Dialektyka

Pewien marksista w intymnej rozmowie
powiedział z goryczą: psiakość!
Tyle uwiodłem już brzydkich kobiet
a ilość nie chce przejść w jakość.

JAN CZARNY

X

Historia o Bzdurowie we fraszkach i obrazkach



Rys. H. Poulain

PIĘKNO OKOLIC

Wokół Bzdurowa lasy niebrzydkie
wszystko w jodełkę, albo w pepitkę.

Notatki na marginesie

W tym mieście nie można być wesołym, bo zaraz obmówią cię, że jesteś „pod dobrą datą”. I, co dziwniejsze, najczęściej będą mieli rację.

—Δ—

Niektóre dyskusje literackie i dziennikarskie sprowadzone są na płaszczyznę: „kto komu pokaże”. Rzecz nie byłaby godna wzmianki, gdyby nie fakt, że ci sami autorzy występują gorąco na innym miejscu przeciw wszelkim przejawom chuligaństwa...

—Δ—

Zasada niektórych piszących w trosce o odpowiedni poziom stopy życiowej: stawić wszędzie stopę tam, gdzie nas nie proszą.

—Δ—

D'Annunzio hodował namiętnie złote rybki i został

na koniec poetą faszystowskim. Jak to się jednak dzieje, że jeden z mych znajomych poetów hoduje rybki czerwone — i tępi bez pardonu wszystkich tych, którzy opowiadają się za inną metodą twórczą?

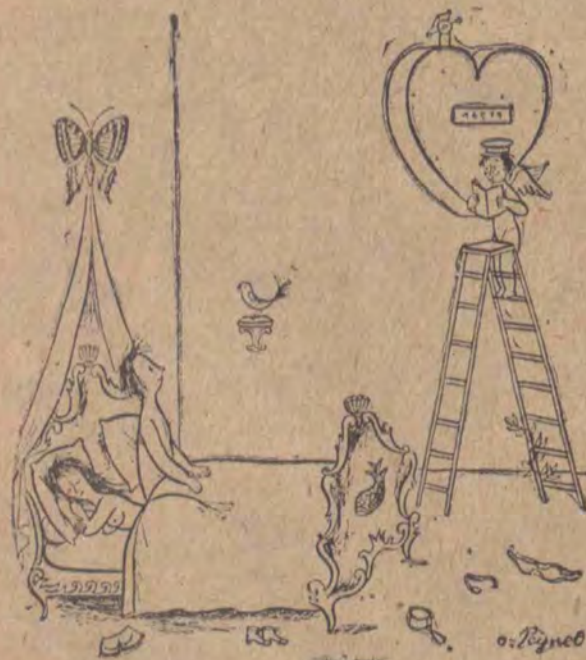
—Δ—

Pewien rachityczny twórca tłumaczy się przed znajomymi, że spadł z pegaza i „tak go pokreśliło”. Byłby to dobry żart, gdyby nie to, że ktoś widział go niedawno, jak dosiadał konia na biegunach.

—Δ—

Znam człowieka, który za pewną rekompensatą materialną gotów jest nie dochodzić krzywd moralnych, jakie ponosi w wyniku służenia co rusz innej idei.

TADEUSZ GIGIER



— Jeśli konsumpcja się nie zmniejszy, będziemy zmuszeni wyłączyć...

odgłosy

str.
10



PRZEDSTAWIA PROGRAMOWE DZIWACTWA

Kiedy nasz widz kinowy, straszony dubbingiem i fatalnym dźwiękiem polskich kopii pokona wszelkie perypetie i wstępuje wreszcie w podwoje przybytku Dziesiątej Muzy, może wówczas nabyć za okrągłą złotówkę „program”. Programy redaguje, wydaje i kolportuje zdaje się Centrala Wynajmu Filmów. Piszę „zdaje się”, ponieważ wydawca nie sygnuje swoich początków twórczych, przejawiając zrozumiałą dyskrecję. Kolportaż jest z zasady fatalny, biuletyny oferują nam program, a jakże, ale w myśl ustalonego zwyczaju. Idąc do kina na „Jutrzenkę” kupujemy program z „Nocy Cabirii”. To jeszcze pół biedy, bo „Noce Cabirii” tuż, tuż... Gorzej, gdy wybierając się do kina w celu obejrzenia filmu „Sprawiedliwości stało się zadość”, możemy nabyć bogaty asortyment programów traktujących o obrazach wyświeblanych przed rokiem. To się nazywa uplynnianiem remanentów. Dlatego akurat kino miałoby nie ulec przyjętemu zwyczajowi? Zresztą nie zgłaszam pretensji, bo dzięki tej metodzie nierzadko uradowało się we mnie serce zbieracza, gdy udało mi się zdobyć do prywatnego archiwum jakiś wyjątkowo rzadki okaz dawnego programu. Ale dziś, na przykład, wybraliśmy się do kina w celu poznania filmu „Kto zabił”, nabyłem program ze „Sprawiedliwości stało się zadość”. Tytuły nieźle się uzupełniają, świadczą o pewnej pomysłowości kolportażu. Większej satysfakcji dostarczyć może jednak tekst rzeczonego programu — wart chwili uwagi, jako zjawisko niesłoneczne, typowe a groźne, będące udokumentowaniem wyjątkowego infantylizmu.

Film „Sprawiedliwości stało się zadość”, to jeden ze słynnych filmów reż. Andre Cayatte zwanymi „filmowa seria sądowa”. Pamiętamy „Przed potopem”, „Wezyceście jesteście mordercami”, „Czarna teczka”. Były to wszystkie filmy pełne gniewu, protestu i ostrzeżenia dla francuskiego społeczeństwa. W swoich filmach Andre Cayatte bezwzględnie demaskuje pozorna „sprawiedliwość” społeczeństw zachodnich, które raz na zawsze ustawił swój aparat prawny i kryteria co „złe” a co „dobre” — zasłony w zupełnym bezruchu. A tymczasem w tym właśnie świecie wzorowej „sprawiedliwości” dzieją się rzeczy wolaające o pomstę. W „Przed potopem” będą to oklamane dzieci ogarnięte psychozą bliskiej rzekomo wojny atomowej.

Czyli coś (społeczeństwa zachodnie!) „spi w zupełnym bezruchu” (!) a dzieci ogarnięte psychozą wolaają o pomstę. Dziwnie mi się zdaje, że „bezwzględny demaskator” Cayatte, wcale sobie z tego nie zdaje sprawy, że jego idee można wyłożyć w sposób tak prosty, celny i bezpośredni. Żal jednak zajmować cenne miejsce na własne komentarze gdy następna perełka niecierpliwie czeka:

Jest to opowieść o kobiecie, która otrula swego kochanka. Sądzi ją ława przysięgłych, ludzi bardzo różnych, ale obdarzonych pełnym zaufaniem społeczeństwa. Słowem — szczyt praworządności społeczeństwa burżuazyjnego i jego duma. Ława przysięgłych, to ludzie obiektywni, rozumni, odporni na emocjonalne podniecenie. Ale oto, w miarę rozwoju akcji filmowej, sytuacja się komplikuje. Trucicielka zeznaje, że jej kochanek miał raka. Ona chciała tylko skrócić jego cierpienia. Przed sędziami staje teraz problem: czy jednemu człowiekowi istotnie wolno skrócić cierpienia innego? Głosy sędziów przysięgłych się rozbijają. Stają oni przed problemem, na który nie dają odpowiedzi ustawy prawne.

Stek pracowicie zebranych nonsensów! Jak wynika z akcji filmu Cayatte'a, przysięgli wybrani drogą losowania, częstokroć wbrew własnej woli i wyraźnej chęci, nie są ani obiektywni ani rozumni, ani wreszcie „odporni na emocjonalne podniecenie”. Chyba, że autor miał coś innego na myśli. A oto następny kwiatek, zerwany z programowej łączki gwoli miłej rozrywce i przedrukowany w brzmieniu oryginalnym.

„Reżyser filmu pozwala nam poznać każdego z siedmiu sędziów, jego życie prywatne, troski, filozofie życiową, najskrytsze myśli i zamiary. Jeden pragnie poślubić pannę z wyższych sfer — obojętny jest mu los oskarżonej, gdyż pragnie on rodzicom swojej wybranki pokazać się jako sędzia. Jest mąż zdradzony przez żonę, który swój żal do kobiety przenosi na salę sądową. Jest niemłoda, zawiedziona w życiu kobieta, która swą zazdrość wyładowuje domagając się skazania Elsy.

Teraz się wydało, że ktoś opowiada nam własnymi słowami treść filmu. A że czyni to z wdziękiem niedziwiedzia, przeto w każdym zdaniu znajdujemy pewne niescisłości. Przede wszystkim, jak wynika z obrazu, ustawy prawne dają jednak odpowiedź na problem, który „staje przed sędziami”. Poza tym pragnącemu poślubić pannę z wyższych sfer (!) wcale nie jest obojętny los oskarżonej. A jak można wnosić z przytoczonego streszczenia, sędzia-niesłonek jest nieobecnym duchem na sali, ze względu na żonę, a nie na kartofle... I gdzie ta „niemłoda zawiedziona w życiu kobieta”, która swą zazdrość wyładowuje na Elsie? Owszem, jest w filmie jedna, niemłoda i jak się zdaje, nawet zawiedziona kobieta. Ale ona, niestety, prosię opowiadacza bajek — broni Elsy. Przynajmniej w filmie, o którym za chwilę padną te oto słowa:

Film ten („Sprawiedliwości stało się zadość”) posiada wielką siłę sugestywną, przenosi nas do Francji i jej komplikowanych problemów od pierwszego zdjęcia.

Dla przypomnienia: pierwsze ujęcie filmu trwa na ekranie niezmiernie długo. Widać w nim drogę, przygotowaną jak się domyślam dla podłożenia napisów czołowych przy opracowaniu wersji zagranicznych. U nas nie skorzystano z tej możliwości i stąd zapewne rzeczono w streszczeniu „przenoszenie”.

Wciąż nas (film) w walce o rzeczywistość sprawiedliwość dla nieszczęśliwej dziewczyny. Nawet powiedziałbym więcej: przez swój szlachetny humanizm wciąż widza w wielką walkę o sprawiedliwość w ogóle. O społeczeństwo, w którym przestałyby działać okrutne prawa walki o byt. W takim społeczeństwie dopiero można byłoby ednać kryteria, według których można by osadzić ludzkie czyny, jako dobre lub złe.

No cóż, naprawdę nie wymyśliłbym lepszej pointy A swoją drogą — powtarzamy — banały na temat tzw. kultury filmowej. Bolejemy, że nasza widownia, w swojej zasadniczej masie nie grzeszy najlepszym gustem i rozrządaniem. Że nie zawsze prawdziwie kochamy obraz. Sprawa która relacjonuje, wygląda na pozor komicznie. W rzeczywistości jednak, jest to zjawisko nader smutne. Program kinowy, mogący spełniać doniosłą rolę nie tylko reklamową, ale także informacyjną i wychowawczą, pomieszcza zenujące wypracowania, istoty próbkę, pióra Ryszarda Łasoty (?) — przytoczyłem powyżej. A jeszcze niedawno temu wydawca (CWF?) zdobywał sobie współpracę Zygmunta Kalużyńskiego (pamiętam uroczy komentarz do „Czarownicy”), K. T. Toeplitza (omówienia komedii francuskich z cyklu „Tata, mama itd”) i innych, mogących sprostać zadaniu. Gdzież oni, gdzie?

METODY

**W NAJBLIŻSZYCH
NUMERACH
KONKURS
FILMOWY
NOWA RUBRYKA**



W kinie

ALENA

Na wstępie kilka słów podziwu dla wyszukanych metod dokuczania ludziom, stosowanych przez kasjerkę kina „Tatry”. Kasjerka nie mogła wykonać swoich obowiązków z arcywaznego powodu — nie miała złotówki reszty. Niebacznie powiedziałam: „Cóż tam złotówka, przy okazji...” i dlatego — kinać pod nosem — musiałam czekać tak długo, aż nieszczęsna złotówka nie wpłynęła do kasy. Oczywiście kronika filmowa tymczasem się zaczęła.

Film nieoczekiwanie zatądził ten niezbyt miły epizod. Bo przemykanie się „Aleny” przez ekrany kin podrzędnej kategorii, niepozorny tytuł, brak jakiegokolwiek echa krytyki — nie zapowiadał nie dobrego.

„Alena” jest kostiumowa komedia czeskosłowacka reżysera M. Cikana. Oglądamy niebanalizowane jeszcze przez tużinkowe filmy, ale popularne w legendach i ludowych żartach, perypetie diabła, który za cenę wymieniona w cyrografie usiłuje zapobiec zdradzie małżeńskiej kobiety, której mąż wyjechał — jak byśmy to dzisiaj powiedzieli — na trzymiesięczne przeszkolenie.

Film nie jest zrobiony równie gładko jak ostamtio wyswietlane komedie francuskie czy włoskie. Ale jego niewatpliwą zaletą jest świeżość pomysłu i sytuacji (z powodzeniem wykorzystane ludowe powiedzonka o diablu) a nawet — zaryzykuje paradoks — świeżość liczących potknięć reżysera.

Film polecam tym, których zaudziły poprawne formalnie komedyjki.

ZAK.



(Rys. Ibis-Gratkowski).

PATRIOTYZM LOLLOBRIGIDY

Amerykańskie czasopismo „Parade” zamieściło serię zdjęć Mirko Skopica, juniora wraz z komentarem „Slicznym mamy” czyli samej Lollobrigidy: „Mój mój siedmioletniestyczny bobas — oświadczyła Gina — jest naprawdę szalenie fotogeniczny”. Jak podaje „Parade”, Gina miała jeszcze dodać: „Chcę mieć dziewięcioro dzieci. Jestem Włoską i jak wszystkie Włoszki pragnę mieć liczne potomstwo. W mojej rodzinie były 4 dziewczynki, w rodzinie mojego męża — pięciu chłopców. Cztery i pięć to razem daje dziewięć i to jest właśnie mój idealny zyciowy. Rola matki bardziej mi odpowiada niż rola divy filmowej”.

SKAT.

Sprawiedliwości stało się zadość

Nie przepadam za filmami Cayatte'a. Razi mnie dwojako oblicze zawarte w nich kokieterii. Ckliwość i pozory sensacyjności. O ile jednak rzeczona ckliwość w „Przed potopem” osiągnęła dosyć wysoką prógę (ze względu na walory scenariusza), to z sensacyjnością Cayatte'owych zamierzeń — dzieje się gorzej. Tutaj, gdy widz się nudzi — nie mogą już usprawiedliwiać niedociągnięcia nawet najszlachetniejsze, humanistyczne idee obrazu. Zresztą owe idee Cayatta, to trzecia twarz wspomnianej na wstępie kokieterii. Lepiej zamaskowana — utrudnia denucjację i stanowi zjawisko warte osobnych rozważań.

„Przed potopem” zdaje się być filmem szczerym, zrobionym z niewatpliwą pasją. Za to „Czarna teczka” obnaża arsenal niewybrednych relikwów, z pomocą których Cayatte przywykł zmierzać do celu. „Sprawiedliwości stało się zadość” — stanowi ogniwo pośrednie między tymi filmami. Tak pod względem artystycznym (jako film gorszy od „Przed potopem” a lepszy od „Czarnej teckki”), jak i z u-

wagi na zawarte w nim pierwiastki walki ze „złem”.

Tkanka sensacyjna w „Sprawiedliwości stało się zadość” nie wykracza poza poprzednie osłabnięcia reżysera. Mniej więcej w jednej trzeciej obrazu kończy się zawiązanie akcji i widz już wie, o co chodzi. Reżyser nie przygotował żadnej niespodzianki, pokazując normalny i letwy do przewidzenia rozwój wydarzeń. Kobieta, która popełniła morderstwo (tak to przecież wygląda w oczach obywatelskiej sprawiedliwości), zostaje skazana. Reżyser zamazuje się ławą przysięgłych, pokazuje każdego spośród siedmiu sędziów. Okazuje się, że są oni zebrani przypadkowo, a żaden z nich nie posiada należytych kwalifikacji umysłowych. Tak więc, niezależnie od intencji Cayatta wynika z jego filmu, że werdykt, pomijający szlachetne pobudki oskarżonej, spowodowany jest przez... niefortunny zestaw ławy przysięgłych! A przecież, jak można się zorientować z wypowiedzi Cayatta, chodziło tu o kompromitację konwencjonalnej sprawiedliwości. Tymczasem ja sprawiedliwość, mająca swoją siedzibę w pokazywanym na filmie budynku, czyli sprawiedliwość oficjalną — wcale nie przemówiła. Wyrok został wydany przez przyzwoitych, ale nieświadomych przedstawicieli społeczeństwa. Dlatego, ze względu na tę przypadkowość doboru, cokolwiek naczągnęty wydaje się komentarz reżysera: „Czy w takim społeczeństwie może istnieć sprawiedliwość?”. Trudno znaleźć odpowiedź, gdy film wymiguje się za pomocą uproszczeń i łatwizny.

Dochodzi do absurdu. Film, którego cały sens opiera się na pokazaniu procesu, pomija obronę i oskarżenie. Nie dziwnego. W dwóch godzinach filmowego opowiadania dosyć wiele zostało pomieszczone. Zbudowana została piramida efektownych pozorów. Pozorów humanistycznej idei i pozorów studium psychologicznego. Cóż z tego, że postacie są w wystarczającym stopniu przekonujące, gdy nie wychodzą poza schemat literacki?

Jak łatwo zauważyć — film Cayatta tym razem składa się z kilku nowel, opowiedzianych przy okazji zasadniczej akcji. „Sprawiedliwości stało się zadość” przypomina więc tak odległy „Rzym, godzina 11”, przynajmniej pod względem konstrukcji. Tylko że oszczędność „Rzymu” — u Cayatta zastąpiona jest przez gadulstwo, jak gdyby prawnik nie potrafił wybić się przyzwyczajeni.

